

Klasa II LG

Temat: Prus i Wokulski jak baczni obserwatorzy rzeczywistości (dwie jednostki lekcyjne)

Uczeń:

- Odwołując się do słów Wokulskiego: „Szczególny kraj, w którym od tak dawna mieszkają obok siebie dwa całkiem różne narody: arystokracja i pospólstwo. Jeden mówi, że jest szlachetną rośliną, która ma prawo ssać glinę i mierzwę, a ten drugi albo przytakuje dzikim pretensjom, albo nie ma siły zaprotestować przeciw krzywdzie”, wyjaśnia, jakie problemy trapiły polskie społeczeństwo w II połowie XIX wieku,
- Analizuje fragmenty *Lalki* (Załącznik nr1) i na ich podstawie charakteryzuje mieszczaństwo, arystokrację, Żydów, inteligencję i lud miejski (zwraca uwagę na: ich kondycję, obyczaje, stawiane sobie cele, problemy i sposoby ich rozwiązywania, stosunek do reszty społeczeństwa, czekającą ich przyszłość); uzupełnia zadanie nr 1 (karta pracy),
- Formułuje opinię na temat społeczeństwa ukazanego w powieści Prusa i zapisuje odpowiedź do zadania nr 2 (Karta pracy),
- Zastanawia się, czy powieść można nazwać rozrachunkiem Prusa z programem pozytywistycznym; podaje punkty programu, których słabość obnażył pisarz oraz takie, które się obroniły,
- Zapoznaje się z treścią hasła **Schyłek wieku** pochodzącego z opracowania Leksykon „Lalki”. Nauczyciel inicjuje rozmowę na temat doświadczenia schyłkowości w Lalce i pyta, w czym się ono przejawia – na planie realistycznym oraz metafizycznym,
- W ramach pracy domowej: Zinterpretuj pisemnie słowa Wokulskiego: „Oto miniatura kraju [...] w którym wszystko dąży do spodlenia i wytępienia rasy. Jedni giną z niedostatku, drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby karmić niedołęgów; miłosierdzie hoduje bezczelnych próżniaków, a ubóstwo, niemogące zdobyć się na sprzęty, otacza się wiecznie głodnymi dziećmi, których największą zaletą jest wczesna śmierć” (t. 1, rozdz. 8, s. 137). Zaznacz w tekście lektury cytaty zawierające opisy dwóch miast: Warszawy i Paryża oraz refleksje Wokulskiego na ich temat.

Załącznik nr 1

O mieszczaństwie

W renomowanej jadłodajni, gdzie na wieczorną przekąskę zbierali się właściciele składów bielizny i składów win, fabrykanci powozów i kapeluszy, poważni ojcowie rodzin utrzymujący się z własnych funduszy i posiadacze kamienic bez zajęcia, równie dużo mówiono o uzbrojeniach Anglii, jak o firmie J. Mincel i S. Wokulski Zatopieni w kłębach dymu cygar i pochyleni nad butelkami z ciemnego szkła, obywatele tej dzielnicy jedni zakładali się o wygrane lub przegrane Anglii, drudzy o bankructwo Wokulskiego; jedni nazywali geniuszem Bismarcka, drudzy – awanturnikiem Wokulskiego; jedni krytykowali postępowanie prezydenta MacMahona, inni twierdzili, że Wokulski jest zdecydowanym wariatem, jeżeli nie czymś gorszym... Pan Deklewski, fabrykant powozów, który majątek i stanowisko zawdzięczał wytrwałej pracy w jednym fachu, tudzież radca Węgrowicz, który od dwudziestu lat był członkiem-opiekunem jednego i tego samego Towarzystwa Dobroczyńności, znali S. Wokulskiego najdawniej i najgłośniejszemu przepowiadali mu ruinę.

– Na ruinie bowiem i niewyścinalności – mówił pan Deklewski – musi skończyć człowiek, który nie pilnuje się jednego fachu i nie umie uszanować darów łaskawej fortuny.

– Zaś radca Węgrowicz po każdej również głębokiej sentencji swego przyjaciela dodawał: – Wariat! wariat!... Awanturnik!... Józiu, przynieś no jeszcze piwa. A która to butelka?

– Szósta, panie radco. Służę piorunem!... – odpowiadał Józio.

– Już szósta?... Jak ten czas leci!... Wariat! wariat! – mruzczał radca Węgrowicz. Dla osób posilających się w tej co radca jadłodajni, dla jej właściciela, subiektów i chłopców przyczyny klęsk mających paść na S. Wokulskiego i jego sklep galanteryjny były tak jasne, jak gazowe płomyki oświetlające zakład. Przyczyny te tkwiły w niespokojnym charakterze, w awanturnicznym życiu, zresztą w najświeższym postępkach człowieka, który mając w ręku pewny kawałek chleba i możliwość uczęszczania do tej oto tak przyzwoitej restauracji, dobrowolnie wyrzekł się restauracji, sklep zostawił na Opatrzności boskiej, a sam z całą gotówką odziedziczoną po żonie pojechał na turecką wojnę robić majątek.

– A może go i zrobi... Dostawy dla wojska to gruby interes – wtrącił pan Szprot, agent handlowy, który bywał tu rzadkim gościem.

– Nic nie robi – odparł pan Deklewski – a tymczasem porządny sklep diabli wezmą. Na dostawach bogacą się tylko Żydzi i Niemcy; nasi do tego nie mają głowy.

– A może Wokulski ma głowę? – Wariat! wariat!... – mruknął radca. – Podaj no, Józiu, piwa. Która to?...

– Siódma buteleczka, panie radco. Służę piorunem! – Już siódma?... Jak ten czas leci, jak ten czas leci...

t. 1, rozdz.1, s. 4–9

Drzwi od sieni skrzyknęły i ukazał się pan Klejn, mizerny subiekt, ze smutnym uśmiechem na posiniałych ustach. – A co, byłem pewny, że pan przyjdiesz pierwszy.

Dzień dobry – rzekł pan Ignacy. [...]

– Pryncypał jeszcze nie wraca, nie miał pan listu? – spytał Klejn.

– Spodziewam się go w połowie marca, najdalej za miesiąc.

– Jeżeli go nie zatrzyma nowa wojna. – Staś... Pan Wokulski – poprawił się Rzecki – pisze mi, że wojny nie będzie.

– Kursa jednak spadają, a przed chwilą czytałem, że flota angielska wplynęła na Dardanele.

– To nic, wojny nie będzie. Zresztą – westchnął pan Ignacy – co nas obchodzi wojna, w której nie przyjmie udziału Bonaparte.

– Bonapartowie skończyli już karierę.

– Doprawdy?... – uśmiechnął się ironicznie pan Ignacy – A na czyją korzyść MacMahon z Ducrotem układali w styczniu zamach stanu?... Wierz mi, panie Klejn, bonapartyzm to potęga!...

– Jest większa od niej.

– Jaka? – oburzył się pan Ignacy. [...]

– Socjalizm... – szepnął mizerny subiekt, kryjąc się za porcelaną. Pan Ignacy mocniej zasadził binokle i podniósł się na swym fotelu, jakby pragnąc jednym zamachem obalić nową teorię, która przeciwstawiała się jego poglądom; lecz poplątało mu szyki wejście drugiego subiekta z brodą.

– A, moje uszanowanie panu Lisieckiemu! – zwrócił się do przybyłego.

– Zimny dzień mamy, prawda? Która też godzina w mieście, bo mój zegarek musi się spieszyć. Jeszcze chyba nie ma kwadransa na dziewiątą?...

– Także koncept!... Pański zegarek zawsze spieszy się z rana, a późni wieczorem – odparł cierpko Lisiecki, ocierając szronem pokryte wąsy.

– Założę się, żeś pan był wczoraj na preferansie.

– Ma się wiedzieć. Cóż pan myślisz, że mi na całą dobę wystarczy widok waszych galanterii i pańskiej siwizny? t. 1., rozdz. 2, s. 22–25.

O arystokracji

W swoim towarzystwie książę nosił tytuł zagorzałego patrioty, prawie szowinisty; poza towarzystwem cieszył się opinią jednego z najlepszych obywateli. Bardzo lubił mówić po polsku, a nawet treścią jego francuskich rozmów były interesa publiczne.

Był arystokratą od włosów do nagniotków, duszą, sercem, krwią. Wierzył, że każde społeczeństwo składa się z dwu materiałów: zwyczajnego tłumu i klas wybranych. Zwyczajny tłum był dziełem natury i mógł nawet pochodzić od małpy, jak to wbrew Pismu Świętemu utrzymywał Darwin. Lecz klasy wybrane miały jakiś wyższy początek i pochodziły, jeżeli nie od bogów, to przynajmniej od pokrewnych im bohaterów, jak Herkules, Prometeusz, od biedy – Orfeusz. Książę miał we Francji przyjaciela, hrabiego (w najwyższym stopniu dotkniętego zarazą demokratyczną), który drwił sobie z nadziemskich początków arystokracji.

– Mój kuzynie – mówił – myślę, że nie zdajesz sobie należycie sprawy z kwestii rodów. Cóż to są wielkie rody? Są nimi takie, których przodkowie byli hetmanami, senatorami, wojewodami, czyli po dzisiejszemu: marszałkami, członkami izby wyższej lub prefektami departamentów. No – a przecie takich panów znamy, nic w nich nadzwyczajnego... Jedzą, piją, grają w karty, umizgają się do kobiet, zaciągają długi – jak reszta śmiertelników, od których są niekiedy głupszy. Księżciu na twarz występowały chorobliwe rumieńce.

– Czy spotkałeś kiedy, kuzynie – odparł – prefekta lub marszałka z takim wyrazem majestatu, jaki widzimy na portretach naszych przodków?...

– Cóż w tym dziwnego – śmiał się zarażony hrabia.

– Malarze nadawali obrazom wyraz, o jakim nie śniło się żadnemu z oryginałów; tak jak heraldycy i historycy opowiadali o nich bajeczne legendy. To wszystko kłamstwa, mój kuzynie!... To tylko kulisy i kostiumy, które z jednego Wojtka robią księcia, a z innego parobka. W rzeczywistości jeden i drugi jest tylko lichym aktorem.

– Z szyderstwem, kuzynie, nie ma rozprawy! – wybuchł książę i uciekał. Biegł do siebie, kładł się na szezlongu z rękoma splecionymi pod głowę i patrząc w sufit, widział przesuające się na nim postacie nadludzkiego wzrostu, siły, odwagi, rozumu, bezinteresowności. To byli – przodkowie jego i hrabiego; tylko że hrabia zapierał się ich. Czyżby istniała w nim jaka przymieszka krwi?... Tłumem zwyczajnych śmiertelników książę nie tylko nie gardził, ale owszem: miał dla nich życzliwość, a nawet stykał się z nimi i interesował ich potrzebami. Wyobrażał sobie, że jest jednym z Prometeuszów, którzy mają poniekąd honorowy obowiązek sprowadzić tym biednym ludziom ogień z nieba na ziemię. Zresztą religia nakazywała mu sympatię dla maluczkich i książę rumienił się na samą myśl, że większa część towarzystwa stanie kiedyś przed boskim sądem bez tego rodzaju zasługi. Więc aby uniknąć wstydu dla siebie, bywał i nawet zwoływał do swego mieszkania rozmaite sesje, wydawał po dwadzieścia pięć i po sto rubli na akcje rozmaitych przedsiębiorstw publicznych, nade wszystko zaś – ciągle martwił się nieszczęśliwym położeniem kraju; a każdą mowę swoją kończył frazesem:

– Bo, panowie, myślimy najpierw o tym, ażeby podźwignąć nasz nieszczęśliwy kraj... A gdy to powiedział, czuł, że z serca spada mu jakiś ciężar; tym większy, im więcej było słuchaczy albo im więcej rubli wydał na akcje. Zwołać sesję, zachęcić do przedsiębiorstwa i cierpieć, wciąż cierpieć nad nieszczęśliwym krajem, oto jego zdaniem były obowiązki obywatela. Gdyby go jednak spytano, czy zasadził kiedy drzewo, którego cień ochroniłby ludzi i ziemię od spiekoty? albo czy kiedy usunął z drogi kamień raniący koniom kopyta? – byłby szczerze zdziwiony. Czuł i myślał, pragnął i cierpiał – za miliony. Tylko – nic nigdy nie zrobił użytecznego. Zdawało mu się, że ciągle frasowanie się całym

krajem ma bez miary wyższą wartość od utarcia nosa zasmolonemu dziecku.

t. 1, rozdz. 11, s. 283–287

Słyszę nieprawdopodobne rzeczy! – zaczął ksiązę, ściskając go za rękę.

– Adwokat pański zachowuje się tak, jakby pan naprawdę miał zamiar nas opuścić...

– Czy ksiązę myślał, że żartuję?...

– No, nie... Ja myślę, że pan spostrzegł jakieś niedogodności w naszej umowie i... – I targuję się, ażeby zmusić was do podpisania innej, która zmniejszy wasze procenta, a zwiększy moje dochody... – pochwycił Wokulski.

– Nie, ksiązę, usuwam się zupełnie na serio. [...] Ksiązę upadł na fotel.

– Spółka zostanie – rzekł cicho – ale na miejsce pana wejdą do niej... starozakonni...

– To już z wyboru panów.

– Żydowszczyzna w naszej spółce!... – westchnął ksiązę.

– Oni nawet na posiedzeniach gotowi rozmawiać po żydowsku... Nieszczęsny kraj! nieszczęsny język!...

– Nie ma obawy – wtrącił Wokulski.

– Większość naszych wspólników ma zwyczaj rozmawiać na sesjach po francusku i językowi nic się nie stało, więc chyba nie zaszkodzi mu kilka frazesów w żargonie. Ksiązę zarumienił się.

– Ależ starozakonni, panie... obca rasa... Teraz jeszcze zaczęła się przeciw nim jakaś niechęć...

– Niechęć tłumy niczego nie dowodzi. Lecz któż zresztą broni panom zebrać odpowiednie kapitały, jak to zrobili Żydzi, i powierzyć je nie Szlangbaumowi, ale któremu z chrześcijańskich kupców?

– Nie znamy takiego, któremu można by zaufać.

– A Szlangbauma znacie?...

– Przy tym u nas nie ma ludzi dość zdolnych – wtrącił ksiązę.

– To są subiekci, nie finansisci...

– A ja czym byłem?... Także subiektem, i nawet restauracyjnym chłopcem; mimo to spółka przyniosła zapowiadany dochód. Pan jesteś wyjątkiem...

– Któż panom zaręczy, że nie znaleźlibyście więcej takich wyjątków w piwnicach i za kontuarami. Poszukajcie.

– Starozakonni sami do nas przychodzą...

– Otóż to!... – zawołał Wokulski.

– Żydzi przychodzą albo wy do nich, ale chrześcijański parweniusz do was nawet przyjść nie może, bo tyle napotyka zawał po drodze... Wiem coś o tym. Wasze drzwi tak szczelnie są zamknięte przed kupcem i przemysłowcem, że albo trzeba je zbombardować setkami tysięcy rubli, ażeby się otworzyły, albo wciskać się jak pluskwa... uchylcie trochę tych drzwi, a może będziecie mogli obchodzić się bez Żydów. Ksiązę zastonił rękoma oczy.

– O, panie Wokulski, to... bardzo słuszne, co pan mówi, ale i bardzo gorzkie... bardzo okrutne...

Mniejsza jednak... Rozumiem pański żal do nas, ależ... są jakieś obowiązki względem ogółu...

– No, ja nie uważam tego za pełnienie obowiązków, że od mego kapitału miałem piętnaście procent rocznie. I nie sądzę, ażebym był gorszym obywatelem, poprzestając na pięciu...

– Ależ my wydajemy te pieniądze – odparł już obrażony ksiązę.

– Ludzie żyją około nas...

– I ja będę wydawał. Pojadę na lato do Ostendy, na jesień do Paryża, na zimę do Nizy...

– Przepraszam!... Nie tylko za granicą żyją z nas ludzie... Iluż tutejszych rzemieślników...

– Czeka na swoje należności po roku i dłużej – pochwycił Wokulski.

– My obaj, mości książe, znamy takich protektorów krajowego przemysłu, mieliśmy ich nawet w naszej spółce... Książe zerwał się z fotelu.

– Aaa!... to się nie godzi, panie Wokulski – mówił zadyszany.

– Prawda, są wśród nas duże wady, są grzechy, ale żadnego z nich nie popełniliśmy względem pana... Miateś naszą życzliwość... szacunek...

– Szacunek!... – zawołał, śmiejąc się Wokulski.

– Czy książe sądzi, że nie rozumiałem, na czym on polegał i jakie zapewniał mi stanowisko między wami?... Pan Szastalski, pan Niwiński, nawet... pan Starski, który nigdy nic nie robił i nie wiadomo, skąd brał pieniądze, o dziesięć piętér stali wyżej ode mnie w waszym szacunku. Co mówię... Lada zagraniczny przybłęda bez trudu dostawał się do waszych salonów, które ja musiałem dopiero zdobywać, choćby... piętnastym procentem od powierzonych mi kapitałów!... To oni, to ci ludzie, nie ja, posiadali wasz szacunek, ba! mieli nierównie rozleglejsze przywileje... Choć każdy z tych wyżej oszacowanych mniej jest wart aniżeli mój szwajcar sklepowy, bo on coś robi i przynajmniej nie gnoi ogółu...

t. 2, rozdz. 17, s. 508–510.

O Żydach

W jednym tylko punkcie godzą się starzy i nowi panowie, a nawet pomaga im Zięba, oto: jeżeli chodzi o dokuczenie siódmemu naszemu subiektowi – Szlangbaumowi. Ten Szlangbaum (znam go od dawna) jest mojżeszowego wyznania, ale człowiek porządny. Mały, czarny, zgarbiony, zarośnięty, słowem – trzech groszy nie dałbyś za niego, kiedy siedzi za kantorkiem. Ale niech no gość wejdzie (Szlangbaum pracuje w wydziale ruskich tkanin), Chryste elejson... Kręci się jak fryga; dopiero co był na najwyższej półce na prawo, już jest przy najniższej szufladzie na środku i w tej samej chwili znowu gdzieś pod sufitem na lewo. Kiedy zacznie rzucać sztuki, zdaje się, że to nie człowiek, ale machina parowa; kiedy zacznie rozwijać i mierzyć, myślę, że bestia ma ze trzy pary rąk. Przy tym rachmistrz zawołany, a jak zacznie rekomendować towary, podsuwać kupującemu projekta, odgadywać gusta, wszystko niezmiernie poważnym tonem, to słowo honoru daję, że Mraczewski w ką!... Szkoda tylko, że jest taki mały i brzydki; musimy mu dodać jakiegoś głupiego a przystojnego chłopaka za pomocnika dla dam. Bo wprawdzie z ładnym subiektem damy dłużej siedzą, ale za to mniej grymaszą i mniej się targują. [...] Otóż Szlangbaum jest w całym znaczeniu porządnym obywatelem, a mimo to wszyscy go nie lubią, gdyż – ma nieszczęście być starozakonny... W ogóle, może od roku, uważam, że do starozakonnych rośnie niechęć; nawet ci, którzy przed kilkoma laty nazywali ich Polakami mojżeszowego wyznania, dziś zwą ich Żydami. Zaś ci, którzy niedawno podziwiali ich pracę, wytrwałość i zdolności, dziś widzą tylko wyzysk i szachrajstwo. Słuchając tego, czasem myślę, że na ludzkość spada jakiś mrok duchowy, podobny do nocy. W dzień wszystko było ładne, wesołe i dobre; w nocy wszystko brudne i niebezpieczne. Tak sobie myślę, ale milczę; bo cóż może znaczyć sąd starego subiekta wobec głosu znakomitych publicystów, którzy dowodzą, że Żydzi krwi chrześcijańskiej używają na mace i że powinni być w prawach swoich ograniczeni. [...] Taki stan rzeczy w osobliwy sposób oddziaływa na Szlangbauma. Jeszcze w roku zeszłym człowiek ten nazywał się Szlangowskim, obchodził Wielkanoc i Boże Narodzenie, i z pewnością najwierniejszy katolik nie zjadał tyle kiełbasy co on. Pamiętam, że gdy raz w cukierni zapytano go:

– Nie lubisz pan lodów, panie Szlangowski? Odpowiedział: – Lubię tylko kiełbasę, ale bez czosnku. Czosnku znieść nie mogę. Wrócił z Syberii razem ze Stachem i doktorem Szumanem i zaraz wstąpił do chrześcijańskiego sklepu, choć Żydzi dawali mu lepsze warunki. Od tej też pory ciągle pracował u chrześcijan i dopiero w roku bieżącym wymówili mu posadę. W początkach maja pierwszy raz przyszedł do Stacha z prośbą. Był bardziej skurczony i miał czerwieńsze oczy niż zwykle.

– Stachu – rzekł pokornym głosem – utonę na Nalewkach, jeżeli mnie nie przygarniesz. [...] Nowy subiekt od razu wziął się do roboty, a w pół godziny później mruknął Lisiecki do Klejna:

– Co tu, u diabła, tak czosnek zalatuje, panie Klejn?...

Zaś w kwadrans później, nie wiem już z jakiej racji, dodał:

– Jak te kanalie Żydy cisną się na Krakowskie Przedmieście! Nie mógłby to parch, jeden z drugim, pilnować się Nalewek albo Świętojerskiej?

Szlangbaum milczał, tylko drgały mu czerwone powieki. Szczęściem, obie te zaczepki słyszał Wokulski. Wstał od biurka i rzekł tonem, którego, co prawda, nie lubię:

– Panie... panie Lisiecki! Pan Henryk Szlangbaum był moim kolegą wówczas, kiedy działa mi się bardzo źle. Czybyś więc pan nie pozwolił mu kolegować ze mną dziś, kiedy mam się trochę lepiej?...

Lisiecki zmieszał się, czując, że jego posada wisi na włosku. Ukłonił się, coś mruknął, a wtedy Wokulski zbliżył się do Szlangbauma i uściskawszy go, powiedział:

– Kochany Henryku, nie bierz do serca drobnych przycinków, bo my tu sobie po koleżeńsku wszyscy docinamy. Oświadczam ci także, że jeżeli opuścisz kiedy ten sklep, to chyba razem ze mną. Stanowisko Szlangbauma wyjaśniło się od razu; dziś mnie prędeż coś powiedzą (ba! nawet zwymyślają) aniżeli jemu. Ale czy wynalazł kto sposób przeciw półstówkom, minom i spojrzeńcom?...

A to wszystko truje biedaka, który mi nieraz mówi, wzdychając:

– Ach, gdybym się nie bał, że mi dzieci zżydzieją, jednej chwili uciekłbym stąd na Nalewki...

– Bo dlaczego, panie Henryku – spytałem go – raz się, do licha, nie ochrzczisz?...

– Zrobiłbym to przed laty, ale nie dziś. Dziś zrozumiałem, że jako Żyd jestem tylko nienawistny dla chrześcijan, a jako meches byłbym wstrętny i dla chrześcijan, i dla Żydów. Trzeba przecie z kimś żyć. Zresztą – dodał ciszej – mam pięcioro dzieci i bogatego ojca, po którym będę dziedziczyć... Rzecz ciekawa. Ojciec Szlangbauma jest lichwiarzem, a syn, ażeby od niego grosza nie wziąć, bieduje po sklepach jako subiekt. Nieraz we cztery oczy rozmawiałem o nim z Lisieckim.

– Za co – pytam – prześladujecie go? Wszakże on prowadzi dom na sposób chrześcijański, a nawet dzieciom urządził choinkę...

– Bo uważa – mówi Lisiecki – że korzystniej jadać macę z kiełbasą aniżeli samą.

– Był na Syberii, narażał się...

– Dla geszeftu... Dla geszeftu nazywał się też Szlangowskim, a teraz znowu Szlangbaumem, kiedy jego stary ma astmę.

– Kpiliście – mówię – że stroi się w cudze pióra, więc wrócił do dawnego nazwiska.

– Za które dostanie ze sto tysięcy rubli po ojcu – odparł Lisiecki. Teraz i ja wzruszyłem ramionami i umilkłem. Źle nazywać się Szlangbaumem, źle Szlangowskim; źle być Żydem, źle mechesem... Noc zapada, noc, podczas której wszystko jest szare i podejrzane!

t. 1, rozdz. 10, s. 259–263.

– Widzę, że nie lubisz Szlangbauma?

– Owszem, nawet podziwiam go i chciałbym naśladować, ale nie potrafię! A właśnie teraz zaczyna się budzić we mnie instynkt przodków: skłonność do geszefciarstwa... O naturo! jakżebym chciał mieć z milion rubli, ażeby zrobić drugi milion, trzeci... i stać się młodszym bratem Rotszylda. Tymczasem nawet Szlangbaum wyprowadza mnie w pole... Tak długo kręciłem się w waszym świecie, żem w końcu utracił najcenniejsze przymioty mojej rasy... Ale to wielka rasa: oni świat zdobędą, i nawet nie rozumem, tylko szachrajstwem i bezczelnością...

– Więc zerwij z nimi, ochrzcz się...

– Ani myślę. Naprzód, nie zerwę z nimi, choćbym się ochrzcił, a jestem znowu taki fenomenalny Żydziać, że nie lubię błagować. Po wtóre – jeżeli nie zerwałem z nimi, kiedy byli słabi, nie zerwę dziś, kiedy są potężni.

– Mnie się zdaje, że właśnie teraz są słabsi – wtrącił Wokulski.

– Czy dlatego, że ich zaczynają nienawidzić?...

– No, nienawiść zbyt silne słowo.

– Dajże spokój, nie jestem ślepy ani głupi... Wiem, co mówi się o Żydach w warsztatach, szynkach, sklepach, nawet w gazetach... I jestem pewny, że lada rok wybuchnie nowe prześladowanie, z którego moi bracia w Izraelu wyjdą jeszcze mędrsi, jeszcze silniejsi i jeszcze solidarniejsi... A jak oni wam kiedyś zapłacą!..

Szelmy spod ciemnej gwiazdy, ale muszę uznać ich geniusz i nie mogę wyprzeć się sympatii... Czuję, że dla mnie brudny Żydziać jest miłszym od umytego panicza; a kiedy po dwudziestu latach pierwszy raz zjrzałem do synagogi i usłyszałem śpiewy, na honor, łzy mi w oczach stanęły... Co tu gadać... Pięknym jest Izrael triumfujący i miło pomyśleć, że w tym triumfie uciśnionych jest częśćka mojej pracy!... [...]

– Robisz się sentymentalny – wtrącił Wokulski.

– To nie sentymentalizm!... Bryzgali nam w oczy swoją wielkością, reklamowali swoje cnoty, kazali nam mieć ich ideały... A dziś, powiedz sam: co warte są te ideały i cnoty, gdzie ich wielkość, która musiała czerpać z twojej kieszeni?... Rok tylko żyłeś z nimi, niby na równej stopie, i co z siebie zrobili?... Więc pomyśl, co musieli zrobić z nami, których gnietli i kopali przez całe wieki?... I dlatego radzę ci: połącz się z Żydami. Zdublujesz majątek i jak mówi Stary Testament, zobaczysz nieprzyjaciół twoje u podnóżka nóg twoich... Za firmę i dobre słowo oddamy ci Łęckich, Starskiego i nawet jeszcze kogo na przykładkę... Szlangbaum to nie dla ciebie wspólnik, to błazen.

– A jak zagryziecie owych wielkich panów, to co?...

– Z konieczności połączymy się z waszym ludem, będziemy jego inteligencją, której dziś nie posiada... Nauczymy go naszej filozofii, naszej polityki, naszej ekonomii i z pewnością lepiej wyjdzie na nas aniżeli na swoich dotychczasowych przewodnikach... Przewodnikach!... – dodał ze śmiechem. Wokulski machnął ręką.

– Mnie się zdaje – rzekł – że ty, który chcesz wszystkich leczyć na marzycielstwo, sam jesteś marzycielem. [...] Szuman zamyślił się.

– Rób, jak chcesz – rzekł, biorąc za kapelusz.

– Faktem jest jednak, że jeżeli ty wyjdiesz ze swojej spótki, to ona wpadnie w ręce Szlangbauma i całej zgrai parszywych Żydziaćków. Tymczasem gdybyś został, mógłbyś tam wprowadzić ludzi uczciwych i przywoitych, którzy mają niewiele wad, a wszystkie żydowskie stosunki.

– Tak czy owak, spótkę opanują Żydzi.

– Ale bez twojej pomocy zrobią to Żydzi chederowi, a z tobą zrobiliby uniwersyteccy.

– Czy to nie wszystko jedno! – odparł Wokulski, wzruszając ramionami.

– Nie wszystko. Nas z nimi łączy rasa i wspólne położenie, ale dzielą poglądy. My mamy naukę, oni Talmud, my rozum, oni spryt; my jesteśmy trochę kosmopolici, oni partykularyści, którzy nie widzą dalej poza swoją synagogę i gminę. Gdy chodzi o wspólnych nieprzyjaciół, są wyborowymi sprzymierzeńcami, ale gdy o postęp judaizmu... wówczas są dla nas nieznośnym ciężarem! Dlatego w interesie cywilizacji leży, ażeby kierunek spraw był w naszych rękach. Tamci mogą tylko zaplugawić świat chałatami i cebulą, ale nie posunąć go naprzód... t. 2, rozdz. 17, s. 491–495

O młodej inteligencji

Wchodzimy. Trzy łóżka. Na jednym z książką w ręku i nogami opartymi o poręcz leży jakiś młody człowiek z czarnym zarostem i w studenckim mundurku; na dwu zaś innych łóżkach pościel wygląda tak, jakby przez ten pokój przeleciał huragan i wszystko do góry nogami przewrócił. Widzę też kufer, pustą walizkę tudzież mnóstwo książek leżących na półkach, na kufrze i na podłodze. Jest nareszcie kilka krzesel giętych i zwyczajnych, i niepoliturowany stół, na którym przyjrzawszy się uważniej, spostrzegłem wymalowaną szachownicę i poprzewracane szachy. W tej chwili mdło mi się zrobiło; obok szachów bowiem spostrzegłem dwie trupie główki: w jednej był tytoń, a w drugiej... cukier!... –

Czego to? – zapytał młody człowiek z czarnym zarostem, nie podnosząc się z łóżka.

– Pan Rzecki, plenipotent gospodarza... – odezwał się rządcą, wskazując na mnie.

Młody człowiek oparł się na łokciu i bystro patrząc na mnie, rzekł:

– Gospodarza?... W tej chwili ja tu jestem gospodarzem i wcale sobie nie przypominam, ażebym mianował plenipotentem tego pana...

Odpowiedź była tak uderzająco prosta, że obaj z Wirskim osłupielimy. Młody człowiek tymczasem ociężale podniósł się z łóżka i bez zbytniego pośpiechu począł zapinać spodnie i kamizelkę. Pomimo całej systematyczności, z jaką oddawał się temu zajęciu, jestem pewny, że przynajmniej połowa guzików jego garderoby pozostała niezapiętą.

– Aaa!... – ziewnął.

– Niech panowie siadają – rzekł, manewrując ręką w taki sposób, że nie wiedziałem, czy każe nam umieścić się w walizce, czy na podłodze.

– Gorąco, panie Wirski – dodał – prawda?... Aaa!...

– Właśnie sąsiad z przeciwka skarży się na panów dobrodziejów... – odparł z uśmiechem rządcą.

– O cóż to?

– Że panowie chodzą nago po pokoju... Młody człowiek oburzył się.

– Zwariował stary czy co?... On może chce, żebyśmy się ubierali w futra na taką spiekotę?...

Bezczelność! słowo honoru daję...

– No – mówił rządcą – niech panowie raczą uwzględnić, że on ma dorosłą córkę.

– A cóż mnie do tego?... Ja nie jestem jej ojcem. Stary błazen! słowo honoru, i przy tym tżę, bo nago nie chodzimy.

– Sam widziałem... – wtrącił rządcą.

– Słowo honoru, kłamstwo! – zawołał młody człowiek, rumieniąc się z gniewu.

– Prawda, że Maleski chodzi bez koszuli, ale w majtkach, a Patkiewicz chodzi bez majtek, lecz za to w koszuli. Panna Leokadia więc widzi cały garnitur.

– Tak, i musi zasłaniać wszystkie okna – odparł rządcą.

– To stary zasłania, nie ona – odparł student, machając ręką.

– Ona wygląda przez szpary między firanką a oknem. Zresztą, proszę pana: jeżeli pannie Leokadii wolno drzeć się na całe podwórko, to znowu Maleski i Patkiewicz mają prawo chodzić po swoim pokoju, jak im się podoba. [...]

– Panowie dobrodzieje winni nam są za cztery miesiące.

– O, znowu swoje!... – wykrzyknął młody człowiek, wsadzając ręce w kieszenie.

– Ileż razy jeszcze będę musiał powtarzać panu, ażeby pan o tych głupstwach nie gadał ze mną, tylko albo z Patkiewiczem, albo z Maleskim?... To przecie tak łatwo pamiętać: Maleski płaci za miesiące parzyste, luty, kwiecień, czerwiec, a Patkiewicz za nieparzyste: marzec, maj, lipiec..

– Ależ nikt z panów nigdy nie płaci! – zawołał zniecierpliwiony rządcą.

– A któż winien, że pan nie przychodzi we właściwej porze?!... wrzasnął młody człowiek, wytrząsając rękoma.

– Sto razy słyszałeś pan, że do Maleskiego należą miesiące parzyste, a do Patkiewicza nieparzyste... – A do pana dobrodzieja?...

– A do mnie, łaskawy panie, żadne – wołał młody człowiek, grożąc nam pod nosami – bo ja z zasady nie płacę za komorne. Komu mam płacić?... Za co?... Cha! cha! dobrzy sobie... [...] Mnie już zabrakło cierpliwości.

– Pozwoli pan zrobić uwagę – odezwał się – że takie nieuszanowanie umowy jest dość oryginalne... Ktoś daje panu mieszkanie, a pan uważa za stosowne nie płacić mu.

– Kto mi daje mieszkanie?!... – wrzasnął młody człowiek, siadając na oknie i huśtając się w tył, jakby miał zamiar rzucić się z trzeciego piętra.

– Ja sam zająłem to mieszkanie i będę w nim dopóty, dopóki mnie nie wyrzucą. Umowy!... paradni są z tymi umowami... Jeżeli społeczeństwo chce, ażebym mu płacił za mieszkanie, to niechaj samo płaci mi tyle za korepetycje, żeby z nich wystarczyło na komorne... Paradni są!... Ja za trzy godziny lekcji co dzień mam piętnaście rubli na miesiąc, za jedzenie biorą ode mnie dziewięć rubli, za pranie i usługę trzy... A mundur, a wpis?... I jeszcze chcą, żebym za mieszkanie płacił. Wyrzucicie mnie na ulicę – mówią zirytowani – niech mnie złapie hycel i da pałą w łeb... Do tego macie prawo, ale nie do uwag i wymówek...

– Nie rozumiem pańskiego uniesienia – rzekłem spokojnie.

– Mam się czego unosić! – odparł młody człowiek, huśtając się coraz mocniej w stronę podwórka.

– Społeczeństwo, jeżeli nie zabiło mnie przy urodzeniu, jeżeli każe mi się uczyć i zdawać kilkanaście egzaminów, zobowiązało się tym samym, że mi da pracę ubezpieczającą mój byt... Tymczasem albo nie daje mi pracy, albo oszukuje mnie na wynagrodzeniu... Jeżeli więc społeczność względem mnie nie dotrzymuje umowy, z jakiej racji żąda, abym ja jej dotrzymywał względem niego. Zresztą co tu gadać, z zasady nie płacę komornego, i basta. Tym bardziej że obecny właściciel domu nie budował tego domu; nie wypalał cegieł, nie rozrabiał wapna, nie murował, nie narażał się na skręcenie karku. Przyszedł z pieniędzmi, może ukradzionymi, zapłacił innemu, który może także okradł kogo, i na tej zasadzie chce mnie zrobić swoim niewolnikiem. Kpiny ze zdrowego rozsądku!

– Pan Wokulski – rzekłem, powstając z krzesła – nie okradł nikogo... Dorobił się majątku pracą i oszczędnością...

– Daj pan spokój! – przerwał młody człowiek.

– Mój ojciec był zdolnym lekarzem, pracował dniem i nocą, miał niby to dobre zarobki i oszczędził... raptem trzysta rubli na rok! A że wasza kamienica kosztuje dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, więc na kupienie jej za cenę uczciwej pracy mój ojciec musiałby żyć i zapisywać recepty przez trzysta lat... Nie uwierzę zaś, ażeby ten nowy właściciel pracował od trzystu lat... [...]

– Więc pan stanowczo nie zapłaci komornego? – spytałem.

– Ani myślę.

– Może choć od października zacznie pan płacić?

– Nie, panie. Niedługo już będę żył, więc pragnę przeprowadzić choćby jedną zasadę: jeżeli społeczność chce, ażeby jednostki szanowały umowę względem niej, niechaj sama wykonywa ją względem jednostek. Jeżeli ja mam komuś płacić za komorne, niech inni tyle płacą mi za lekcje, żeby mi na komorne wystarczyło. Rozumie pan?...

– Nie wszystko, panie – odparłem.

– Nic dziwnego – rzekł młody człowiek.

– Na starość mózg wędnie i nie jest zdolny przyjmować nowych prawd...

t. 2, rozdz. 2, s. 58–62

O gminie

Zatrzymał się w połowie drogi i patrzył na ciągnącą się u jego stóp dzielnicę między Nowym Zjazdem i Tamką. Uderzyło go podobieństwo do drabiny, której jeden bok stanowi ulica Dobra, drugi – linia od Garbarskiej do Topieli, a kilkanaście uliczek poprzecznych formują jakby szczeble. „Nigdzie nie wejdziemy po tej leżącej drabinie – myślał.

– To chory kąt, dziki kąt”. I rozważał pełen goryczy, że ten płat ziemi nadrzecznej, zasypany śmieciem z całego miasta, nie urodzi nic nad parterowe i jednopiętrowe domki barwy czekoladowej i jasnożółtej, ciemnozielonej i pomarańczowej. Nic, oprócz białych i czarnych parkanów, otaczających puste place, skąd gdzieśgdzie wyskakuje kilkupiętrowa kamienica jak sosna, która ocalała z wyciętego lasu, przestraszona własną samotnością. „Nic, nic!...” – powtarzał, tułając się po uliczkach, gdzie widać było rudery zapadnięte niżej bruku, z dachami porośniętymi mchem, lokale

z okiennicami dniem i nocą zamkniętymi na sztaby, drzwi zabite gwoździami, naprzód i w tył powychylane ściany, okna łatanie papierem albo zatkanie łachmanem. Szedł, przez brudne szyby zaglądał do mieszkań i nasycił się widokiem szaf bez drzwi, krzesel na trzech nogach, kanap z wydartym siedzeniem, zegarów o jednej skazówce z porozbijanymi cyferblatami. Szedł i cicho śmiał się na widok wyrobników wечно czekających na robotę, rzemieślników, którzy trudnią się tylko łataniem starej odzieży, przekupek, których całym majątkiem jest kosz zeschniętych ciastek – na widok obdartych mężczyzn, mizernych dzieci i kobiet niezwykle brudnych. „Oto miniatura kraju – myślał – w którym wszystko dąży do spodlenia i wytępienia rasy. Jedni giną z niedostatku, drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby karmić niedołęgów; miłosierdzie hoduje bezczelnych próżniaków, a ubóstwo niemogące zdobyć się na sprzęty otacza się wечно głodnymi dziećmi, których największą zaletą jest wczesna śmierć. Tu nie poradzi jednostka z inicjatywą, bo wszystko sprzyściło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce – o nic. [...] Wokulski doszedł do brzegu Wisły i zdumiał się. Na kilkumorgowej przestrzeni wznosił się tu pagórek najobrzydliwszych śmieci, cuchnących, nieomal ruszających się pod słońcem, a o kilkadziesiąt kroków dalej leżały zbiorniki wody, którą piła Warszawa. „O, tutaj – myślał – jest ognisko wszelkiej zarazy. Co człowiek dziś wyrzucił ze swego mieszkania, jutro wypije; później przenosi się na Powązki i z drugiej znowu strony miasta raz bliźnich pozostałych przy życiu. Bulwar tutaj, kanały i woda źródłana na górze i – można by ocalić rokrocznie kilka tysięcy ludzi od śmierci, a kilkadziesiąt tysięcy od chorób... Niewielka praca, a zysk nieobliczony; natura umie wynagradzać”. Na stoku i w szczelinach obmierzłego wzgórza spostrzegł niby postacie ludzkie. Było tu kilku drzemających na słońcu pijaków czy złodziei, dwie śmieciarki i jedna kochająca się para, złożona z trędowatej kobiety i suchotniczego mężczyzny, który nie miał nosa. Zdawało się, że to nie ludzie, ale widma ukrytych tutaj chorób, które odziały się w wykopane w tym miejscu szmaty. Wszystkie te indywidualia zwietrzyły obcego człowieka; nawet śpiący podnieśli głowy i z wyrazem zdziżenia psów przypatrywali się gościowi. Wokulski uśmiechnął się. „Gdybym tu przyszedł w nocy, na pewno wyleczyliby mnie z melancholii. Jutro już spoczywałbym pod tymi śmieciami, które – wreszcie – są tak wygodnym grobem jak każdy inny. Na górze zrobiłby się wrzask, ścigano by i wyklinano tych pocziwców, a oni – może wyświadczyliby mi łaskę. [...] Co za piękne, ojczyzno, będziesz miała potomstwo, urodzone i wychowane na tym śmietniku, z matki okrytej wysypką i beznosego ojca!...

t. 1, rozdz. 8, s. 136–152.

Karta pracy „Oto miniatura kraju”

1. Scharakteryzuj warstwy społeczne z II połowy XIX

a) kondycja

.....

.....

.....

b) obyczaje

.....

.....

c) cele

.....

.....

d) problemy i sposoby ich rozwiązania

.....

.....

e) stosunek do reszty społeczeństwa

.....

.....

f) przyszłość

.....

.....

2 Na podstawie zgromadzonych wiadomości scharakteryzuj obraz społeczeństwa polskiego zawarty w Lalce.

.....

.....

.....

.....
.....
.....
.....

Temat: Lalka a realizm krytyczny(dwie jednostki lekcyjne)

Uczeń:

- Odczytuje zaznaczone w domu odpowiednie fragmenty dotyczące opisu miast i refleksji Wokulskiego na ich temat,
- Wypisuje różnice między literackimi obrazami dwóch stolic; na ich podstawie wyciąga wnioski i przedstawia dwie diagnozy społeczne dotyczące społeczeństwa polskiego i społeczeństwa francuskiego; w tym celu uzupełnia zadanie 1 (**Karta pracy**),
- Określa, jaki był stosunek Prusa do głównych haseł pozytywistycznych; w tym celu uzupełnia zadanie 2 (**Karta pracy**),
- Na podstawie znajomości *Lalki* Prusa definiuje, czym jest **realizm krytyczny** i wskazuje jego przykłady w utworze,
- Zastanawia się, czy realizm krytyczny może dotyczyć kompozycji utworu,
- Czyta fragment rozprawy Józefa Bachórza *O pieniądzach i kwestiach ekonomicznych w Lalce* (**Załącznik**) i podejmuje dyskusję na temat tego, czy Prus proponuje w powieści pozytywne rozwiązania dla społeczeństwa polskiego – a jeśli tak, to na czym mają one polegać,
- W ramach pracy domowej pisze pracę - rozprawkę na temat: „»To chory kąt, dziki kąt« – kapitalizm czy idealizm ratunkiem dla polskiego społeczeństwa przedstawionego w Lalce”.

Karta pracy

1. Porównaj dwa portrety miast przedstawione w *Lalce*.

Warszawa(dzielnica Powiśle)	Paryż

Wniosek:	
2. Określ widoczny w powieści stosunek Prusa do głównych haseł pozytywizmu warszawskiego	
Praca organiczna	Asymilacja Żydów
Kult pracy	Emancypacja kobiet

Załącznik

Autor Lalki – jak wszyscy wybitni realiści dziewiętnastowieczni – osadza swych bohaterów w historii, toteż nie może lekceważyć uwarunkowań materialnych i podstaw obyczajowo-społecznych ich bytu. Nie chodzi mu oczywiście, by poetykę powieści nasycić „poetyką księgowości”, nie wątpi jednak, że obowiązkiem powieściopisarza jest informować czytelnika, kto z czego żyje, szczególnie jeśli tworzy powieść mieszczańską i na dodatek kupiecką (tak nieraz nazywano Lalkę). [...] Dodajmy, że informacje powieściowe Prusa-beletrysty odzwierciedlają rzeczywisty stan cen, płac i nawyków pieniężnych pod zaborem rosyjskim w opisywanych przezeń latach, toteż odbiorcom Lalki w jej czasie macierzystym pewne stwierdzenia mówiły więcej o konkretach codzienności, niż mówią jej czytelnikom na początku XXI stulecia. Jeśli Wokulski na przykład woźnicy Wysockiemu proponuje zarobek 3 rubli dziennie, to czytelnik „Kuriera Codziennego” orientował się, że Wysocki otrzymał bardzo korzystną propozycję, bo zarobki w tej grupie robotników transportowych wynosiły od 2 do 2,5 rubla. Jeśli łajdak Maruszewicz zgłasza się do Wokulskiego z życzeniem objęcia stanowiska z pensją co najmniej 1 tysiąca, a najchętniej 2 tysięcy, rubli rocznie, to współcześni Prusa zdawali sobie sprawę z groteskowego

charakteru tego życzenia, bo wiedzieli, że płace rządu 2 tysięcy rubli zdarzały się na posadach wyższych urzędników magistrackich lub na dyrekcyjnych fotelach przedsiębiorców. [...] Z żarliwością i nieustępliwością dowodził Prus w swoich pracach teoretycznych i w felietonistyce, że w naszym życiu zbiorowym już dawno zostały naruszone reguły zdrowego rozwoju: że za wiele tu celebry przy symbolach i zainteresowania rozrywką, a za mało troski o materialne i duchowe potrzeby społeczeństwa. Krzyczący się przy budowie kosztownych pomników Mickiewicza, a nie potrafimy się zdobyć na tanie edycje jego dzieł. Otaczamy kultem tancerki, śpiewaków i wodzirejów salonowych – nie potrafimy docenić inżynierów. Obnosimy się przed światem z naszymi niedolami i cierpieniami – nie staramy się o użyteczność dla świata. [...] W Lalce Prus ostrzegł przed lekceważeniem ekonomicznych praw życia społecznego. [...] uważał pieniądze za warunek kardynalny organizacji społeczeństwa i za środek znakomity funkcjonowania jego gospodarki.

Józef Bachórz, Spotkania z „Lalką”, Gdańsk 2010, s. 88–97.

Temat: **Pięć powodów, dla których warto czytać dziś Prusa – praca z tekstem sprawdzającym czytanie ze zrozumieniem(dwie jednostki lekcyjne)**

Uczeń:

- Rozwiązuje kartę pracy ,
- Omawia i sprawdza poprawność odpowiedzi.

Karta pracy

Przeczytaj mowę Ewy Paczoskiej i wykonaj podane zadania.

Bo napisał arcypowieść. Literatura polska nie obfituje niestety w arcydzieła klasy światowej – tym bardziej warto więc doceniać te, które posiadamy. Należy do nich na pewno Lalka, którą można, z jednej strony, postawić obok najwybitniejszych utworów europejskich realistów XIX w. (Balzaca, Dickensa, Stendhala), a z drugiej ulokować w kręgu pisarzy tworzących na progu XX w. nowy model powieści (takich jak Henry James, Marcel Proust, Virginia Wolf). Warto w związku z tym przypominać zmagania Prusa z formułą realizmu i jego eksperymentowanie z formą, często dla współczesnych nieczytelne i kontrowersyjne. Bo przekonuje, że zarówno na ziemi, jak i na niebie nie ma nic pewnego. Pytając, jak najlepiej pokazywać rzeczywistość, pisarz, zarówno w swojej prozie, jak i w refleksji teoretycznej na temat realizmu, stawia czytelnika w sytuacji poznawczej niepewności. Czy w istocie znamy rzeczywistość, czy tylko własne wyobrażenia na jej temat? Twórczość Prusa, nie przypadkiem nazywanego „mistykiem realizmu”, otwarta jest na pytania egzystencjalne. Opisując codzienny świat, powszednie zabiegi zwykłych ludzi, odsłania jednocześnie horyzont metafizyczny. Bo pokazuje „ludzi czasu wielkiej zmiany”. Tak o bohaterach Prusa pisał Stanisław Brzozowski, zauważając, że to od nich rozpoczyna się opowieść o polskiej nowoczesności – od ich pytań o miejsce tradycji we współczesności i ich zmagania z modernizacją świata. Bohaterowie Lalki czy Emancypantek to ludzie zamieszkujący dwa światy, przednowoczesny i nowoczesny, mający świadomość, że świat zmienia się na ich oczach. Jak sprostać tym zmianom? – to główne pytanie Rzeckiego, Wokulskiego czy Ochockiego. Bo daje obraz człowieka w poszukiwaniu tożsamości. Bohaterowie Prusa wiedzą, że w świecie nowoczesnym tożsamość, jak piszą dziś antropologowie kultury, stała się przestrzenią jednostkowych wyborów. To stawia człowieka w sytuacji wolności, którą się ekscytuje, ale której efektów się lęka. Prus po mistrzowsku pokazuje lęki swoich bohaterów, mające swoje źródło w tym, co próbują ukryć przed

innymi. Zainteresowanie „człowiekiem psychologicznym” prowadzi pisarza do badania tego, co nieświadome, schowane pod powierzchnią codziennych kłamstw. Bo jest patronem polskiej opowieści o przygodach Polaka myślącego – nie tylko przeżywającego swoją rzeczywistość, lecz także poddającego ją procedurom intelektualnym. Prus był uważnym i czujnym obserwatorem polskiej kultury, tego, co w niej wielkie, i tego, co w niej małe. Komentując pod koniec XIX w. narodową dyskusję na temat pomników Adama Mickiewicza, podkreślał, że monumenty wznoszą swoim wielkim ludziom przede wszystkim narody mające kłopot z własną tożsamością, cierpiące na kompleks niższości, nieumiejące dobrze rozpoznać rzeczywistości. Wielokrotnie zastanawiał się nad tym, czy, jak pisał w jednym z esejów, Polacy potrafią zaproponować swój „własny ton” w orkiestrze świata. Prus uważał, że jako naród mamy wciąż problemy z rozpoznawaniem rzeczywistości, że zbyt często ulegamy hipnotyzującej sile pięknych obrazów naszej przeszłości, sile symbolu i gestu. To dlatego, jak pisał, Polacy powinni się uczyć życia codziennego jak arytmetyki czy geografii. Ciągle stawiał też pytanie, czy jako naród skazany przez historię na długoletnią niewolę będziemy umieli wybić się na dojrzałość – a to pytanie aktualne do dziś.

Mowa przewodniczącej jury Ewy Paczoskiej na zakończenie konkursu Bolesław Prus – w setną rocznicę śmierci pisarza, Warszawa 19 maja 2012, www.olijp.pl

1 Na podstawie akapitu 1. określ, do jakich dwóch tradycji literackich przynależy Lalka.

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

2 Napisz, jak odbierali pisarstwo Prusa współcześni mu czytelnicy.

.....

.....

.....

3 Co oznacza wyrażenie „mystyk realizmu”, którym określa się czasem pisarza (akapit 2.)?

.....

.....

.....

.....

.....

4 Wyjaśnij, dlaczego bohaterów powieści Prusa można nazwać „ludźmi czasu wielkiej zmiany” (akapit 3.)

.....

.....

.....

.....

.....

5 Podaj co najmniej cztery synonimy wyrazu postęp.

.....

.....

.....
.....
6 Wytłumacz w świetle informacji z akapitu 4., na czym polega nowoczesne podejście autora *Lalki* do sposobu ukazywania psychiki ludzkiej.

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

7 Nieukończona powieść Marii Dąbrowskiej nosi tytuł *Przygody człowieka myślącego*. Określenie użyte przez badaczkę w akapicie 5.: „opowieść o przygodach Polaka myślącego” jest

- A. metaforą.
- B. parafrazą.
- C. porównaniem.
- D. hiperbolą.

8 Wypisz z akapitu 5. dwie wady narodu polskiego, na które wskazywał Prus.

-
-

.....

9 Środek stylistyczny zastosowany w sformułowaniu: „Polacy potrafią zaproponować swój »własny ton« w orkiestrze świata” to

- A. anafora.
- B. hiperbola.
- C. metafora.
- D. animizacja.

10 Określ, jakie trzy funkcje pełni podobny sposób rozpoczynania kolejnych akapitów tekstu..

-
-
-

11 Prus zachęcał Polaków, aby swoje postępowanie w życiu codziennym wzorowali na

- A. prawidłach nauk ścisłych.
- B. postaciach z przeszłości.
- C. innych narodach.
- D. działaniach zaborcy.

12 Sformułuj pięć powodów, dla których – Twoim zdaniem – warto dziś czytać Bolesława Prusa.

-

.....

<ul style="list-style-type: none">••••••

Temat: **Zróżnicowanie środowiskowo-zawodowe polszczyzny**

Uczeń:

- Wykonuje zadanie *Na początek* (podręcznik, s. 97); na jego podstawie wyjaśnia, na czym polega zjawisko zróżnicowania środowiskowego polszczyzny,
- Zapoznaje się ze schematem ukazującym cechy polszczyzny środowiskowej (podręcznik, s. 98),
- Podaje własne przykłady słów żargonowych, np. z żargonu uczniowskiego,
- Wypowiada się na temat zróżnicowania zawodowego polszczyzny -korzysta z podręcznika, s. 99,
- Wykonuje zadanie: 1,3,5 (ustnie)s. 99-100, 2,4(pisemnie), s. 100,
- Rozwiązuje zadania z platformy e-podręczniki:
<https://epodreczniki.pl/a/srodowiskowe-odmiany-jezyka/DRtCvF7Mh>